



ET VIDI LIBRUM
SIGNATUM
SIGILLIS SEPTEM

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA
CIEŃ WŁADCY SABATU
POWIEŚĆ DEMONOLOGICZNA

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA
CIEŃ WŁADCY SABATU
POWIEŚĆ DEMONOLOGICZNA

WYDANIE JUBILEUSZOWE
W PIĘCDZIESIĄTĄ ROCZNICĘ
LITERACKIEGO DEBIUTU AUTORA



WYDAWCA
ARKADIUSZ SIEJDA
KALINOWO, 2025

Autor:

Andrzej Juliusz Sarwa

Tytuł:

Cień Władcy Sabatu

Debiut powieściowy autora napisany w 1989 roku.

Pierwsze wydanie zostało opublikowane
nakładem wydawnictwa Karat, Tarnów 1993.

**Projekt okładki i stron tytułowych;
Opracowanie graficzne, skład, łamanie:**
Arkadiusz Siejda

Ilustracje:

Arkadiusz Siejda

Ilustracje powstały z wykorzystaniem narzędzi sztucznej inteligencji,
a następnie zostały poddane autorskiej edycji w programach graficznych.

Text © Copyright by Marta Elżbieta Sarwa, 2025

© Copyright by Arkadiusz Siejda, 2025

**WYDANIE I
JUBILEUSZOWE**

TOM 1 TAJEMNICY RODU SEMBERKÓW

Druk i oprawa:

Mazowieckie Centrum Poligrafii
05-270 Marki ul. Słoneczna 3C
www.drukksiazek.pl

ISBN 978-83-68179-14-9

Pamięci mojej Żony Elżbiety

CIEKAWOŚĆ





Będąc dzieckiem, lubiłem – pod nieobecność ojca – zakradać się do jego gabinetu i usiadłszy gdzieś w kącie, skryty pomiędzy regałami, których półki szczelnie wypełniały grzbiety ksiąg oprawnych w skórę, ze złożonymi literami tytułów i ornamentami, wpatrywać się w dziwną mapę, rozwieszoną na wprost jego biurka.

Piszę dziwną, w niczym bowiem nie przypominała tych map, jakie drukuje się teraz. Rysowana była niegdyś chyba czarnym, teraz zaś zblakłymi zbrązowiałym ze starości atramentem, na dużej karcie pergaminowej.

Na owej mapie, przedstawiającej bez wątpienia wyspę, zaznaczone były rzeki i strumienie, a w jej centralnej części wyobrażone zostały góry. W jednym z rogów widniała róża wiatrów, a wokół brzegów karty wyrysowano jakieś przedziwne, a niesamowite stwory: potworkowatych ludzi o twarzach dzikich, pełnych okrucieństwa oraz zwierzęta nieznanne – ni to smoki, ni ptaki, ryby – nie ryby..

Wszakże najbardziej intrygowało mnie i przerażało zarazem wyobrażenie głowy, człowieczą głowę przypominającej, ale tak niesamowitej, tak potwornej, że gdy wpatrywałem się w nią dłużej niż kilka chwil zaledwie, ogarniała mnie groza. Lęk potężny żelazną pięścią zaciskał się na moim sercu i umyśle, i tłumiąc krzyk przerażenia wzbierający w gardle, uciekłem precz z ojcowskiego gabinetu i skrywszy się w swoim pokoju, długo nie mogłem odzyskać równowagi.

Mapa owa dziwnie jakoś – mimo iż, zawsze wzbudzała we mnie grozę – fascynowała jednocześnie i gdy przez dłuższy czas nie miałem możliwości jej oglądać, zdawała się mnie przyzywać, jawiąc się w snach.

U samego dołu tejże mapy widniał napis sporządzony dziwnie poskręcany literami, który z trudem wielkim udało mi się odczytać. Brzmiał on:

ET VIDI LIBRUM SIGNATUM SIGILLIS SEPTEM.

Długo starałem się dociec jego znaczenia, nie śmiejąc wszakże zapytać o to ojca, bo gdyby się dowiedział, iż wchodzę – wbrew jego wyraźnemu zakazowi – do gabinetu, z pewnością by się rozgniewał.

Przecież któregoś dnia stało się to, co zdało się nieuniknione i ojciec przydybał mnie wciśniętego pomiędzy regały i wpatzonego w tajemniczą mapę.

Bąłem się, iż będzie krzyczał, a być może nawet ukarze mnie, ale on nic nie mówił. Stał tylko nade mną, a w jego oczach malowało się więcej smutku i zatroskania niż złości.

Podniosłem się i nie próbując nawet tłumaczyć się czy przeproszać za złamanie zakazu i przestąpienie progu gabinetu, po prostu zapytałem:

– Co znaczą owe słowa wypisane u dołu mapy, ojczu?

*– I UJRZAŁEM KSIĘGĘ ZAPIECZĘTOWANĄ
SIEDMIOMA PIECZĘCIAMI.*

To po łacinie, a jest to urywek jednego z wersów Apokalipsy św. Jana Apostoła, na Wschodzie zwanego Janem Teologiem, bądź Janem Ewangelistą.

– Ale dlaczego – pytałem dalej zaintrygowany – autor owej mapy umieścił je na niej i co chciał przez to powiedzieć?

– Któż to może zgadnąć?

Usiłowałem jeszcze go pytać, dowiedzieć się czegoś więcej o samej mapie, skąd ona, jak trafiła do naszego domu, ile lat może liczyć, jaki ład przedstawia, lecz nie uczyniłem tego, bo ojciec, jakby przeczuwając to wszystko, surowo spojrzał na mnie i rzekł:



– A teraz wyjdź i nigdy więcej nie wchodź do tego pokoju bez mojej zgody. Zawstydzony opuściłem głowę i chyłkiem wymknąłem się przez wpół uchylone drzwi.

* * *

Tej nocy długo nie mogłem zasnąć. Szeroko otwartymi oczyma, wpatrzony w ciemność, zastanawiałem się nad znaczeniem dziwnych łacińskich słów. Zapładniały one moją wyobraźnię, w której jawiła się ogromna księga po siedmiokroć zapieczętowana, a zawierająca jakąś tajemnicę, której poznanie mogłoby chyba zmienić cały bieg mojego życia, niezapowiadającego się nazbyt ciekawie, ba! wręcz prozaicznie nawet.

Począłem marzyć. Jakieś słodkie rojenia to przypływały, to odpływały ode mnie, aż wreszcie ogarnęło mnie znużenie, powieki zaciążyły i opadły, a ja sam jałem pogrążyć się w czarną czeluść niepamięci. I wtedy – znajdując się na granicy jawy i snu – całkiem wyraźnie posłyszałem syczący szept:

– Złam pieczęcie... Jedną po drugiej... Jedną po drugiej...

Gwałtownie usiadłem na pościeli. Ogromny srebrzystobiały księżyc zaglądał do mojej sypialni przez okno. Jego poświata sprawiała, iż było całkiem widno. Rozejrzałem się bacznie dookoła, wypatrując postaci, która przed chwilą wyrzekła była do mnie te słowa, ale nie ujrzałem nikogo.

Próbowałem poderwać się na nogi, lecz nie byłem w stanie. Jakiś niezmierny ciężar przygniół mnie do pościeli. W głowie poczęło się mącić, obraz sprzętów oświetlonych księżycową poświatą tracił ostrość, rozmywał się, nikał.

Nie potrafiąc przełamać własnej słabości, z jękiem wcisnąłem głowę w poduszkę i wówczas doznałem przedziwnego uczucia, którego jeszcze nigdy przedtem nie doświadczyłem – zdało mi się, iż zawisłem w próżni, że ciało utraciło ciężar, że prócz mojej jaźni nie istnieje nic realnego. Oprócz mojej własnej jaźni i... czegoś, co usiłowało w nią wnikać. Broniłem się, odpychałem owo coś, co chciało wpełznąć do mojego umysłu, ale owo coś było silne, bardzo silne i po chwili zmagani zawładnęło całym moim jestestwem.

Nie czyniło krzywdy, lecz sprawiało tylko, iż w moim umyśle

jawiły się i znikały obrazy. Przedziwne obrazy. Obrazy pochodzące ze świata innego niż ten, w którym żyłem.

Oto skalista stroma ściana, pionowym obrywem zagroziła mi drogę. Po obydwu stronach wąskiej ścieżki zwarty gąszcz tropikalnego lasu nie pozwalał skręcić ni w prawo, ni w lewo. Lecz oto naraz, natężywszy wzrok, dostrzegłem stopień i uchwyty dla rąk, wykute w czerwonym piaskowcu skalistego zbocza wiodące ku szczytom wzgórza, wychylającego się ponad morze oblewającej go zewsząd dżungli.

I wiedziałem, nie wiem skąd, ale wiedziałem, że ja, tylko ja i nikt inny nie może wdrapać się po tych stopniach. I wiedziałem jeszcze jedno – to mianowicie, że skoro znajdę się na szczycie, osiągnę najistotniejszy dla mnie cel. Tylko... tylko nie miałem pojęcia, jaki jest ów cel. Później obraz zblakł i się rozmył.

Gdy rankiem obudziłem się wypoczęty, a jasne, poźłociste promienie słoneczne przegoniły precz niemiłe nocne majaki, poczułem się lekki i wolny, tak jakby coś lub ktoś, spełniwszy swoją misję, pozostawił mnie sobie samemu, uwolnił od swojej – co prawda niedostrzegalnej – ale przecież nieustannie wyczuwalnej obecności.

Gabinet ojcowski przestał mnie kusić i nigdy już potajemnie nie zakradłem się do niego. Mapa zaś, owa wiekowa, dziwaczna mapa, nie rozpałała więcej mojej wyobraźni. Ot, stała się jednym z tych starych przedmiotów, które były nieodłącznym atrybutem ojcowskiego gabinetu. Przedmiotów, które ojciec z lubością gromadził, twierdząc, że gdy dorosnę i poznam wartość rzeczy, bez wątplenia zrozumiem, iż jego zbiór jest unikalny i niejedno muzeum chciałoby wejść w jego posiadanie, aby móc się poszczycić tak cennymi eksponatami.

* * *

Upływały dni i tygodnie, i lata. Słońce wschodziło i zachodziło, pąki na drzewach nabrzmiewały sokami, rozwijały się liście, liście żółkły i opadały, śnieg osiadał na poczerniałych konarach..

Któregoś ranka, gdy ojciec nie przyszedł na śniadanie, tknięty jakimś nieokreślonym przeczuciem, pełen niepokoju poszedłem do jego sypialni. Była pusta.

Pomyślałem, iż może zdrzemnął się w gabinecie, gdzie ostatnimi

czasy lubił coraz częściej i coraz dłużej przesiadywać, przeglądając stare, pożółkłe papiery.

Zbliżywszy się do drzwi, zapukałem zrazu lekko, a później energiczniej, a nie doczekawszy się żadnej reakcji na stukanie, nacisnąłem klamkę. Ojciec wół leżał na biurku, z szeroko rozłożonymi rękoma i twarzą ukrytą w papierach. Nie miałem żadnej wątpliwości. Nie żył.

* * *

Po pogrzebie, gdy już wszyscy krewni i znajomi uścisnęli mi dłoń, wyrażając mniej lub bardziej szczere współczucie, i praktycznie zostałem sam przy grobie ojca, zbliżył się do mnie brat zmarłego, a mój stryj, którego prawie zupełnie nie znałem, jak bowiem daleko sięgałem pamięcią, odwiedził nasz dom nie więcej niż dwa razy. Był to stary, chudy, przygarbiony wiekiem mnich, przyodziany w brązowy franciszkański habit. Stryj nosił zakonne imię ojca Sebastiana.

– Skoro ochłoniesz nieco po tych smutnych przejściach, przyjdź do mnie, mój synu. Mam ci coś ważnego do powiedzenia. Najlepiej przyjdź pojutrze o świcie do naszego kościoła, gdzie odprowadzę mszę za spokój duszy twojego ojca, a mego brata, Gerharda.

Zanim zdążyłem cokolwiek odpowiedzieć na to, skinął mi głową i odszedł wąską alejką pomiędzy grobami, alejką obsadzoną po obu stronach strzelistymi tujami. Po chwili jego sylwetka zamajaczyła w bramie cmentarnej...

* * *

Głęboka czerń nocy zbladła, przemieniając się w szarzyznę ledwie budzącego się poranka. W prostym cynowym lichtarzu dogorywał płomyk, pełgający po skręconym, poczerniałym knocie ułamka woskowej świecy.

Ojciec Sebastian klęczał na środku swej celi, zakrywszy twarz dłońmi i bezdźwięcznie powtarzał wkoło słowa Modlitwy Pańskiej. Na pobielonej wapnem ścianie wisiał sporych rozmiarów krucyfiks, na którym rozpięty Chrystus, w męce konania, wół otwartymi ustami zdawał się być, z trudem niezmiernym a bólem, łapać powietrze w na wół zgniecione płuca.

Wszakże nie przed owym krucyfiksem klęczał mnich i nie ku Zbawicielowi rozpiętemu na Drzewie płynęły słowa modlitwy. Oto kierował je gdzieś w przestrzeń nieokreśloną, w dal niezmierną, poza ściany celi, poza mury klasztorne, w nieskończoność niebiosów.

Wpół przymknięte oczy, przykurczone mięśnie twarzy, wyostrome rysy, pot perlący czoło, zdawały się świadczyć, iż pragnie, ażeby słowa, jego słowa, dotarły tam, dokąd zapragnął, ażeby dotarły przed tron Przedwiecznego.

Skądś, z dala, dobiegło pianie koguta. Raz. Drugi. Trzeci.

Ojciec Sebastian, jakby raptem obudzony z głębokiego snu, podźwignął się na nogi, otrzepał pył z kolan i wyszedł z celi. Znalazłszy się już na korytarzu, włożył wielki klucz do zamka, przekreślił go po dwakroć i pocisnąwszy klamkę, sprawdził, czy drzwi na pewno zostały zamknięte. Dopiero wówczas, wyraźnie uspokojony, wolnym krokiem wyszedł z budynku klasztornego.

Na dworze owionął go chłód budzącego się poranka, a ciałem wstrząsnął dreszcz. Przykulił się, pochylił i przyspieszając kroku, udał do kościoła św. Piotra, który czarniawą bryłą rysował się na tle ledwie co rozświetlonego brzaskiem nieboskłonu. Chociaż do kościoła mógł wejść wprost z klasztoru, udał się dalszą drogą, by przy okazji nasycić płuca rzeńskim porannym powietrzem.

We wnętrzu świątyni był już zakrystian – żwawy staruszek o rumianej, wiecznie uśmiechniętej twarzy. Krzątał się, zapalając świece na ołtarzu św. Michała.

– *Pax Christil!* – ozwał się staruszek na widok wchodzącego.

Ojciec Sebastian bez słowa skinął mu głową i również bez słowa podążył do zakrystii.

Nakładał humerał, albę, stułę, przepasywał się cingulum, na koniec przywdział czarny ornat, a na przedramię założył manipularz. Starzec przez cały czas pomagał mu przyoblekać szaty liturgiczne. Wreszcie zakonnik, wzięwszy kielich mszalny okryty welonem, skierował się ku ołtarzowi. Głęboko pochylony mówił półgłosem:

– *Introibo ad altare Dei.* Przystąpię do ołtarza Bożego.

Zakrystian zaś, ministrantując, odpowiadał:

– *Ad Deum qui letificat iuventutem meam...* Do Boga, który uweselił młodość moją...

Gdy innych ojców jał budzić srebrzysty dźwięk sygnaturki, niosą-

cy się klasztorными korytarzami, ojciec Sebastian dawno już zakończył sprawowanie Świętej Liturgii.

* * *

Prawie całą mszę przeklęczałem w starej, rzeźbionej w jakieś fantastyczne zawijasy, dębowej ławce. Gdy stryj wreszcie skłoniwszy się głęboko przed ołtarzem, odchodził do zakrystii, podniosłem się z klęczek i podążyłem za nim.

Rozbierał się z szat liturgicznych powoli, układając je starannie na nadgryzionym zębem czasu i poznaczonym przez korniki białej wielkiej komody. Ujrzawszy mnie wchodzącego, na moment odwrócił głowę i spojrzawszy kątem oka, mruknął:

– A więc jesteś. To dobrze.

Później zaś, zupełnie nie zwracając na mnie uwagi, ukląkł przed krucyfiksem, poniżej którego wisiały jakieś łacińskie modlitwy, oprawne w prostą sosnową ramkę, które najwidoczniej każdy kapłan obowiązany był odmawiać po odprawieniu mszy.

W migotliwym blasku pojedynczej świecy bacznie wpatrywał się w tekst, bezgłośnie poruszając wargami. Trwało to dość długo. W końcu jednak podźwignął się z klęczek i przeżegnawszy zamaszyscie, rzekł:

– A teraz pójdz za mną. Czasu mam niezbyt wiele, a do powiedzenia dużo.

Weszliśmy w wąski i ciemny korytarzyk, do którego wiodły niezbyt niskie drzwi z wymalowanym na nich wizerunkiem świętego Franciszka Serafickiego, w momencie otrzymania przezeń stygmatów Męki Pańskiej. Drzwiczki osadzone były w solidnej, prostej kamiennej framudze.

Szedłem prawie po omacku, korytarzyk bowiem ów prawie zupełnie nie był oświetlony. Łączył się on z prostokątną salą, z której liczne drzwi, widniejące na wszystkich ścianach, zaprowadzić pewnie mogłyby do każdego z zakamarków klasztoru. My jednak nie weszliśmy w żadne, lecz zbliżyliśmy się do krętych kamiennych schodków otoczonych żelazną balustradą, a wiodących gdzieś w dół. Chyba ku pomieszczeniom piwnicznym.

Stryj wydobył z zanadza ułomek woskowej świecy i zapalił go

od niemiłosiernie kopnącej lampki, napełnionej cuchnącym olejem, a przytwierdzonej do wysokiej, prostej kamiennej kolumny, podtrzymującej środek stropu sali, w której się znaleźliśmy.

Później, uniósłszy dłoń z ogarkiem ku górze, aby oświetlić nam drogę, jął zstępować owymi schodkami, które były nadzwyczaj ciasne i kręte, toteż szło się nimi nader niewygodnie.

Mniemałem, iż znajdziemy się w piwnicach, ale się omyliłem. Trafiliśmy bowiem tylko do sutereny, której niewielkie okienka wychodziły na otoczony krużgankami dziedziniec, po którego środku widać było – już dość wyraźnie, ponieważ niebo mocno się rozjaśniło, zwiastując rychłe nadejście dnia – zarys studni, z której, na potrzeby kuchni, mnisi czerpali wodę.

Stryj pociągnął mnie za rękaw:

– Nie gap się w okno, lecz pośpiesz raczej!

Znów wędrowaliśmy jakowymś wąskim i niskim – przypominającym tunel – korytarzykiem, aż wreszcie, na jego końcu, znaleźliśmy solidne drzwi dębowe, zaopatrzone w niemniej solidny zamek.

Stryj ujawszy zwisający mu przy pasku klucz, otworzył podwoje swojej celi. Tak, pomieszczenie, do którego mnie przyprowadził, było bez wątpienia jego celą.

Przestąpiwszy próg, rozejrzałem się ciekawie dookoła. Prosta prycza pod jedną ze ścian. Sosnowy taboret obok sosnowego stołu ze stojącym na jego środku cynowym lichtarzem, szeroka, krótka ława, a na niej gliniana misa i dzban napełniony wodą. I wreszcie równie prosty drewniany klęcznik tak zużyty, że aż w miejscach, których zapewne dotykały całe pokolenia mnichów, poczyniły się wgłębienia. Nad klęcznikiem wisiał sporych rozmiarów krucyfiks z nadzwyczaj realistycznie wyobrażoną postacią Ukrzyżowanego.

Stryj usiadł na pryczy, jednocześnie wskazując mi dłonią miejsce obok siebie.

– Wysłuchaj mnie uważnie, Hansie, bo rzeczy, o których chcę ci teraz opowiedzieć, są niezwyklej wagi... Jak zapewne wiesz, ród nasz, z którego już tylko my dwaj pozostaliśmy, wielce jest starożytny i wielce szlachetny, chociaż może ani sławą, ani majątkością innym rodom niemieckim nie dorównuje.

Śród naszych przodków wielu było takich, których życiorysy nazwać by można interesującymi, lecz jeden z antenatów, porzuciwszy

rodzinne strony i udawszy się na służbę do króla polskiego, noszącego imię Zygmunta III, a wywodzącego się z rodu Wazów szwedzkich, nie tylko ogromnego majątku się dorobił, ale i najwujszych dostojęństw w Polsce dostąpił.

– O kimże to mówisz, stryju? – zapytałem zaciekawiony tym dość intrygującym wstępem.

– Był to Teofil von Semberk z miasta Reichenbachu rodem.

– Ojciec mi nigdy o nim nie wspominał. Dlaczego?

– Pewnie, gdyby Stwórca pozwolił mu pożyć trochę dłużej, opowiedziałby ci o naszym dalekim przodku Teofilu. Ponieważ jednak musiał odejść do wieczności, akurat w momencie, kiedy dojrzałeś na tyle, iż mógł ci bez obaw powierzyć rodową tajemnicę, a nie zdążył uczynić tego, obowiązek zaznajomienia cię z nią, mnie przypadł w udziale. Chociaż... Jeśli mam być szczery, wolałbym tego nie czynić...

– Czemu?! – przerwałem stryjowi.

Stary mnich popatrzył na mnie uważnie i odparł:

– Bo owa tajemnica to brzemię ciężkie i nie wiem, czy będzie ci łatwo je dźwigać, o ile dźwigać je zechcesz... Ale wróćmy do początku. Otóż tenże Teofil von Semberk tak się w Polsce zasłużył, że król Zygmunt w nagrodę obdarował go indygenatem, czyli polskie szlachectwo mu nadał. Mało tego, uczynił go generałem swojej artylerii, podarował mu majątek Krzykosy – inna wersja głosi, iż się w ów majątek wżenił, wszakże czy tak, czy owak było, paskudna to nazwa, prawie dla mnie nie do wymówienia. A na koniec monarcha powierzył mu godność kasztelana krzemienieckiego.

Nietrudno się chyba domyślić, że ów Teofil – jako wojenny mąż – nie siedział w jednym miejscu.

Liczne wówczas Polska prowadziła wojny, a on w nich uczestniczył, więc szmat kraju zjeździł.

Miał kasztelan Teofil szczególne nabożeństwo do Męczenników Sandomierskich, błogosławionych mnichów dominikańskich, których – w starożytnym kościele św. Jakuba Apostoła, do dziś zresztą w Sandomierzu istniejącym – w roku 1260 okrutnie Tatarzy pomordowali. Dorobiwszy się więc ogromnego majątku, postanowił, iż wybuduje kaplicę ku ich czci, przy tym właśnie kościele, a w jej podziemiach, w krypcie murowanej, znajdzie po śmierci on, a później jego potomkowie, odpoczynek wiekiusty.

Starzec przerwał na chwilę, jakby raptem zgubił wątek, a może tylko dla odpoczynku, a później ciągnął na nowo:

– Jak zamysłili, tak też i uczynili. Około roku 1600 kaplicę – bardzo piękną zresztą, w stylu włoskiego renesansu – tak jak Teofil chciał, wzniesiono. Po śmierci razem z żoną, w podziemnej krypcie go pochowano. Które z nich zmarło wcześniej, dziś już nie wiadomo, ale nie jest to dla nas ważne, ani zbyt interesujące. I właściwie tyle o Teofilu rzec by można było. Dodam tylko jeszcze, że spolszczył się zupełnie. Ożeniony z Polką, pozostawił spadkobierców nazwiska i majątku, którzy mieli na imiona Michał i Jacek. Michał zmarł bezpotomnie, Jacek zaś spłodził potomka, ale to oboczny wątek – wróćmy do Teofila. Ów żył, jak większość polskich szlachciców wówczas żyła i niczym szczególnym się nie wyróżniał. Pojął za żonę niejaką Katarzynę Jakubowską, która – jak zdaje się na to wskazywać data wypisana obok jej herbu na jednej ze ścian kaplicy Męczenników Sandomierskich – zgasła w roku 1642...

– To byłeś, stryju, w Sandomierzu? Po cóż?

– Ciekawość mnie brała, skąd ród swój wiodę, a i pomodlić się na grobach przodków chciałem, przy okazji pielgrzymkę do Błogosławionych Męczenników odbywając. Ale mi nie przerywaj...

– Kiedy umarł Jacek – nie wiadomo. Nie ocalały na ten temat żadne wzmianki. Ponadto, mniemać by można, iż na nim spolszczony ród Semberków z Reichenbachu wygasił. Ale tak się nie stało. My dwaj bowiem w prostej linii wywodzimy się od syna Jacka, a wnuka Teofila, noszącego imię Stanisław, który po nader barwnym i ciekawym życiu, chociaż prócz nazwiska z ojczyzną przodków nic go już nie łączyło, nie wiedzieć czemu, w wielkim popłochu, na kilka lat przed śmiercią, uciekł z Polski i zamieszkał w Niemczech. Tu, mimo iż nie był już młodzieńcem, ożenił się z młodzieuchną i ładną dziewczyną, jakąś ubogą szlachcianeczką, która pewnie złakomiła się na pieniądzu starucha, a która zdążyła go jeszcze uszczęśliwić synem Wolfgangiem.

– Gdy Stanisław umarł, wdowa prócz pieniędzy, odziedziczyła po nim również rozliczne dokumenty – niektóre pisane po łacinie, niektóre zaś po polsku, oraz pewną mapę, kunsztownie na wielkiej pergaminowej karcie wyrysowaną...

– Ach! – krzyknąłem, skojarzywszy słowa starego mnicha z ma-

pą, która tak wcześniej mnie fascynowała, a która wisiała na jednej ze ścian ojcowskiego gabinetu.

Stryj, spojrzawszy na mnie spod oka, ozwał się na to:

– Pewnie pomyślałeś o mapie, którą znasz, bo miałaś możliwość widywać ją w waszym domu?

– Tak, stryju.

– I masz rację. To ta sama mapa. Wróćmy jednak do wątku przerwanej opowieści.. Stanisław von Semberk rychło osierocił swego syna Wolfganga, który może dlatego, iż wychowywany bez ojca, a może z powodu odziedziczenia pewnego sentymentalizmu i skłonności do mistycyzmu po swych polskich antenatach (bo jak wiemy, są to dla Polaków cechy raczej typowe), od kiedy przyszedł do używania rozumu, jął zajmować się sprawami, które bardziej by mnichowi-eremicie przystawały, niż młodzieńcowi szlchetnego rodu i dziedzicowi nie najlichszej fortuny. O której notabene krążyły różne legendy: już to mówiące, iż Stanisław przywiózł z Polski skarby w dowód łaski przez króla przodkom jego dane, już to, iż sam je zdobył podczas dość tajemniczej wyprawy, jaką był odbył do Turcji.

– Tak czy owak, Wolfgang miał korzystać ze złota, bawić się i używać życia, w miarę jak przybywało mu lat, stawał się coraz większym odludkiem i zaszyczał się w domowym zaciszu, bezustannie wertował jakieś księgi, a największą uwagę poświęcał dokumentom pozostałym po ojcu, szczególnie tym, które spisane były po polsku. Aby poznać ich treść, bynajmniej nie wynajął tłumaczy, lecz sam nauczył się polskiego...

Starzec przerwał i w zamyśleniu wpatrzył się w posadzkę, ułożoną z czworobocznych szarych płyt piaskowcowych, której – podobnie jak całego klasztoru – nie oszczędził zęb czasu. Milczał dość długo, zanim na nowo podjął wątek.

– Wolfgang nie przejawiał żadnego zainteresowania kobietami i pewnie przepędziłby życie w beżennym stanie, gdyby nie nalegania matki. Po wielu namowach i nieustannym molestowaniu wymogła na młodzieńcu, że – chyba raczej dla świętego spokoju, nie zaś z przekonania – wreszcie pojął żonę. Ale nie dał jej szczęścia. Po ślubie natychmiast wrócił do swoich dawnych upodobań i zajęć. Ożywiła go na krótko wiadomość, iż został ojcem i ma syna, ale poza tym, że

na cześć dziada kazał ochrzcić go imieniem Stanisław, dzieckiem się nie interesował zupełnie.

Za to coraz bardziej dziwaczał. A może raczej, może będzie to trafniejszym określeniem, jał podlegać jakowejś dziwnej przemianie. Stał się jeszcze bardziej skryty i milczący, i w miarę upływu czasu począł robić wrażenie człowieka, który czegoś się lęka i żyjąc w ustawicznym napięciu, zdaje się oczekiwać najgorszego.

Schudł, poczerniał. Jego rozbiegane oczy strzelały to na prawo, to na lewo, jakby wypatrując kogoś lub czegoś, co może chcieć mu zagrozić. Zdarzyło się, iż na całe dni i noce zamykał się w swoim pokoju, otoczony księgami i rękopisami, nie przyjmując żadnych pokarmów, tylko od czasu do czasu domagając się to świec, to wody.

Matka i żona doszły zgodnie do wniosku, iż Wolfgang jest obłąkany, ale niestety żadna z nich nie umiała mu pomóc. Modląc się tedy, czekały tylko, pełne obaw, na jakiś dziki wybryk lub atak szału syna jednej, a męża drugiej.

Tymczasem stało się coś, czego żadna z kobiet się nie spodziewała. Oto któregoś wieczora Wolfgang polecił służącemu, aby ów przyprowadził do jego pokoju żonę, a gdy ta – głowiąc się, co by owo wezwanie miało oznaczać – natychmiast posłusznie przybyła, powiedział jej, że oto wreszcie, po wielu trudach, kosztem ogromnego wysiłku i stracie wielu lat, rozwiązał zagadkę swego ojca Stanisława i wie już czemu ten, na stare lata, porzucił rodzinne pielesze, i w popłochu uciekłszy z Polski, osiadł w Niemczech.

Wszystko to, co odkrył, opisał – po polsku – aby niepowołani ludzie nie mogli przeniknąć tajemnicy ich rodu i powierza owe zapiski jej właśnie, z prośbą – by zadbawszy wpierw o to, żeby ich syn nauczył się polskiego – przekazała mu je, gdy dorośnie.

Gdy kobieta wzbraniała się przed przyjęciem wręczanego jej manuskryptu, mówiąc, iż da go sam ich synowi za lat parę, Wolfgang tylko pokręcił głową i uśmiechnąwszy się smutno, odrzekł, iż jego życie dobiega kresu. Ona zaś – małżonka – ma zadbać, aby syn uczynił odpowiedni pożytek z wiedzy przekazanej mu w tym dokumencie przez ojca. Tajemnica, którą dokument zawiera, była tak ważna, że nie chciał umierać, nie upewniwszy się, iż rozpoczęte przezeń dzieło zostanie w przyszłości ukończone.

Nie chciał jednakże powiedzieć swojej żonie czegoś więcej na ów

temat. Wspomniał tylko, iż dla człowieka bez skrupułów przeniknięcie tajemnicy byłoby nieocenionym skarbem i kluczem do dobrobytu, że kiedyś wydarzyły się rzeczy straszne i obrzydliwe zarazem w swej ohydzie, że grzech przodka musi być odkupiony, inaczej – wcześniej czy później – w tym, czy też w innym pokoleniu, może wydarzyć się coś, co wprawi świat w przerażenie i zdumienie zarazem, a ktoś z ich rodu będzie musiał spłacić zaciągnięty przez Stanisława rodzaj długu w taki sposób, w jaki żadna ludzka istota nie chciałaby go spłacać. Choćby był potomkiem i w siódmym nawet pokoleniu...

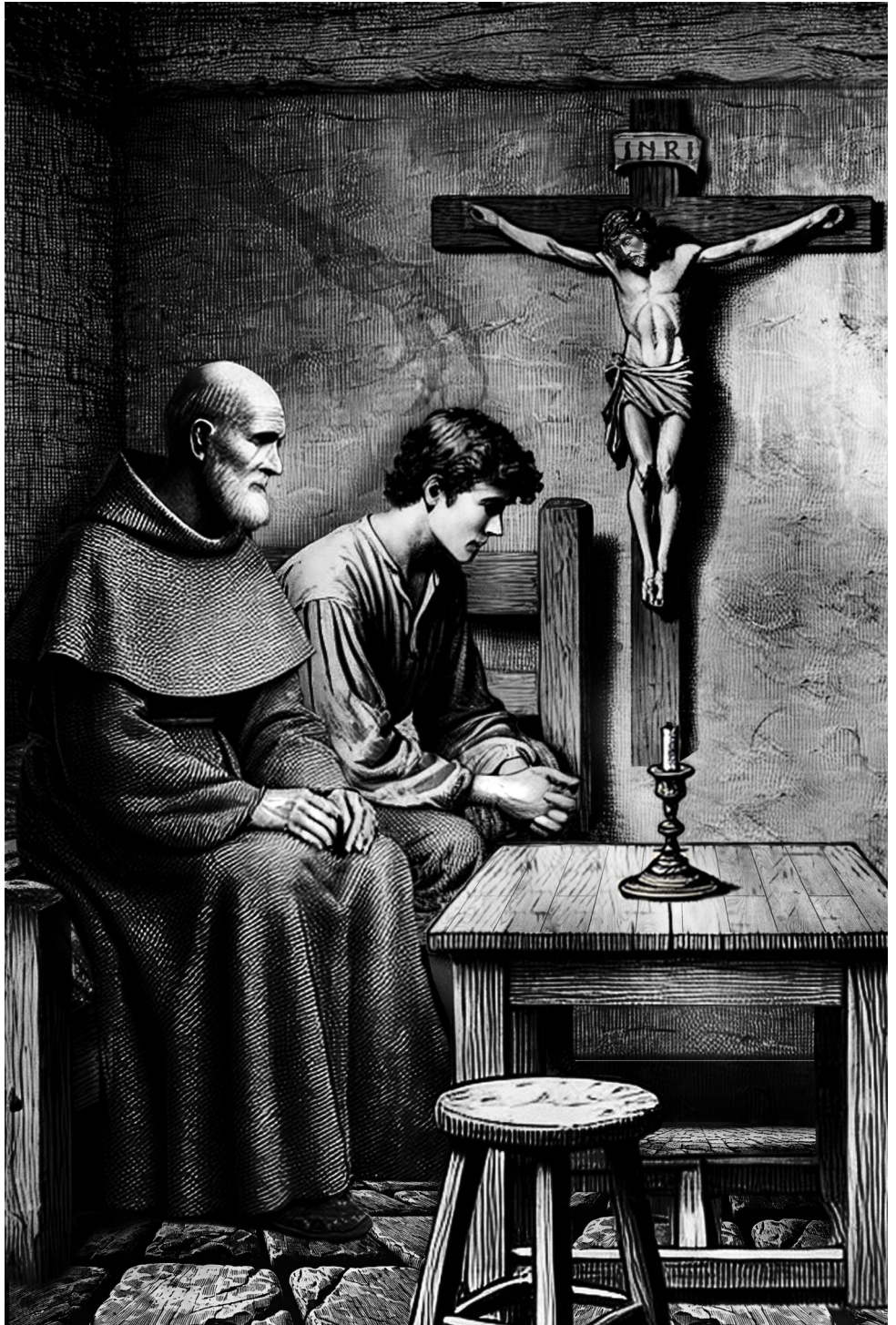
Dodał jeszcze, iż prócz manuskryptu, który wyszedł spod jego pióra i mapy tajemniczej wyspy – niezbędnych pospołu do zrozumienia pewnych rzeczy – w przypadku, gdyby one zaginęły, wskazówek dotyczących rozwikłania rodzinnej tajemnicy, można ponoć poszukać w krypcie grobowej Semberków pod kaplicą Błogosławionych Męczenników w Sandomierzu. Wolfgang nie powiedział już ani jednego słowa więcej i chociaż zaintrygowana małżonka usiłowała wydobyć odeń coś jeszcze, nie otworzywszy ust, odprawił ją skinieniem ręki.

Mnich znowu zamilkł. Długie opowiadanie wyraźnie go męczyło. Po chwili jednak, westchnąwszy ciężko, kontynuował swą opowieść.

– Rankiem następnego dnia przerażona służba doniosła, że pan Wolfgang nie żyje. Gdy żona i matka czym prędzej pobiegły do jego pokoju, ujrzały widok niezwykle i przerażający zarazem. Oto trup stał, wciśnięty pomiędzy bok wielkiej dębowej szafy, całej wypełnionej księgami, a wystający marmurowy gzyms kominka, w którego pobliżu ustawiony był ów mebel. Wszakże nawet nie sama – nader niezwyklej pozycja, w której znajdował się nieboszczyk – uprawiała obydwie kobiety w popłoch, lecz wyraz jego twarzy.

Wykrzywiona była w tak potwornym grymasie, że na pierwszy rzut oka trudno było ją rozpoznać. Usta w pół otwarte jakby w zagaśłym niemym krzyku. Szeroko rozwarte oczy nieruchomo wpatrzone w jeden punkt – w dziwną mapę rozwieszoną na przeciwległej ścianie. Włosy rozsypane w nieładzie. Jedna ręka zaciśnięta całą mocą na krawędzi szafy, druga zaś w obronnym geście, ze szponiasto rozwartymi palcami, wyciągnięta do przodu, tak jakby umarły usiłował powstrzymać kogoś lub coś, co przyszło do niego.

Gdy służba z wielkim trudem wyszarpnęła zwłoki z ciasnego kąta, medyk zawieszany przez ogarnięte grozą kobiety, dokonawszy



szczegółowych oględzin trupa, orzekł, iż nie może tu zachodzić przypadek zabójstwa. Pan Wolfgang nie umarł też na żadną ze znanych medycynie chorób, a jedynym racjonalnym wyjaśnieniem zgonu może być wyłącznie strach, strach tak potężny, że aż zdławił serce, którego bicie ustało.

Co zaś strach ów mogło spowodować, Bóg jeden tylko wie i umarły, ale przecież ani od jednego, ani też od drugiego niczego dowiedzieć się nie można. On, medyk, nie czuje się uprawniony do snucia spekulacji i odradza czynić to innym. Cokolwiek jednak ujrzął pan Wolfgang, musiało to być zaiste przerażające, skoro przypawiło o zgon mężczyznę w sile wieku i zupełnie zdrowego.

Wdowa pomna prośb i poleceń męża, jakie ten jej wydał był owego wieczoru, skon swój poprzedzającego, wyuczyła syna ich, Stanisława, po polsku i gdy dorósł, przekazała mu manuskrypt ojcowy i wszystko, co wiedziała o przodkach nieboszczyka męża.

Próżno jednak młodzieniec usiłował pojąć to, co było zawarte w zapiskach ojca, próżno godzinami całymi upatrywał się w mapę. Ni z jednego, ni z drugiego dokumentu, niczego zgoła wyrozumieć nie mógł. Manuskrypt zawierał dziwaczne jakieś opisy, rojenia chorego umysłu przypominające, dla rozumu trzeźwego i racjonalnego bezsensowne zgoła.

Przypuszczał Stanisław, iż nie jest to bynajmniej samo rozwikłanie tajemnicy jego dziada, którego imię nosił, ale raczej klucz do niej, a może fragment klucza, bo przecież ojciec przed zgonem wspominał także i o ważności mapy.

Mimo licznych prób, z samozaparciem i uporem podejmowanych, nie udało się Stanisławowi rozwikłać zagadki. Mniemał, że pomocne by mu były zapiski i dokumenty dziadka, ale tych po dokładnym przeszukaniu całego domu nie odnalazł.

Wyrozumiał z tego, że pewnie to jego ojciec je zniszczył, z sobie tylko wiadomych względów...

Wreszcie dał spokój całej sprawie, poświęcając się odtąd zajęciom przyziemnym zgoła i nic z tajemniczością niemających wspólnego. I od tego czasu nikt z naszego rodu nigdy już do zagadkowych kwestii nie powracał. Ot, tak mapę, jak i manuskrypt przekazywano tylko z pokolenia na pokolenie, razem z opowieścią zawierającą ich dzieje.

Przez dwa stulecia, czyli poprzez sześć pokoleń – zwykło się bowiem przyjmować trzy pokolenia na stulecie – mapę i manuskrypt traktowano jedynie jako pamiątkę rodzinną i nic ponadto. Dopiero twój ojciec, a mój brat – Panie świeć nad jego duszą! – dostawszy dokument w swoje ręce, z ciekawości chyba i z nudów, zabrał się do zbadania zapisków naszego naddziada.

I rzecz szczególna, im dłużej się nimi zajmował, tym większej zmianie ulegał jego charakter i zachowanie. Z lekkoducha – niech mi daruje, że tak o nim mówię, ale przecie nie było inaczej! – przeistoczył się, w ciągu kilkunastu miesięcy zaledwie, w człowieka poważnego i zamkniętego w sobie. Ba! Aby móc lepiej wszystko wyrozumieć, nie dowierając widać tłumaczom, wyuczył się polskiego, i tegoż języka, kazał również uczyć i ciebie, gdy dzieckiem jeszcze byłeś, jakby przeczuwając, iż sam nie ukończy rozpoczętego dzieła.

Nie utrzymywaliśmy bliższych kontaktów, chociaż obaj w tym samym mieście mieszkaliśmy.

Lecz nie z mojej winy tak było, tylko twego ojca, który nawet i własnego brata niechętnie widywał.

Aż oto – będzie ze trzy niedziele temu – przybył do klasztoru w wielkim popłochu i wręczając mi manuskrypt, poprosił, abym go gdzieś dobrze ukrył. Nie chciał niczego szczegółowiej wyjaśniać. Dodał tylko, iż rozwikłał zagadkę przeszłości, że nasz ród ma jakiś dług do spłacenia i że gdyby jemu coś się stało, mam przekazać papiery tobie, z prośbą byś się nimi zajął. Do starych niezrozumiałych dokumentów dołączył też swoje wyjaśnienia w osobnej kopercie, zapieczętowanej lakową pieczęcią, z wyciśniętym na niej herbem naszego rodu, zaklinając mnie, bym jej nie otwierał inaczej, jak tylko w twojej obecności Hansie i abyśmy obydwaj – przeczytawszy dokument, który tam umieścił, zajęli się sprawą niezwłocznie i gorliwie. Dlaczego zająć się musimy, nie chciał mówić, bo gdyby nie okazało się konieczne wtajemniczenie osób trzecich, sam doprowadzi rzecz do końca. My zaś mamy zająć się nią jedynie wówczas, gdyby go Pan Bóg powołał z tego świata do siebie.

Przeczuwał widać biedak swój rychły zgon i najwyraźniej się czegoś lękał. I przecucie go – jak widać – nie myliło. Nie żyje. A ponieważ on nie żyje, poprosiłem cię do siebie, byśmy – jak sobie życzył – zapoznali się z poręczonymi mej pieczy dokumentami.

– Mam je tutaj ukryte w celi i zaraz zajrzemy do nich.

Ojciec Sebastian podźwignął się z pryczy, lecz nie zdążył uczynić ani jednego kroku jeszcze, gdy naraz naszych uszu dobiegło dość ostre, natarczywe nawet, kołatanie do drzwi.

– Proszę! Proszę!... – ozwał się starzec.

Na te słowa drzwi się rozwarły, a na progu stanął młody mnich.

– Ojcie Sebastianie – powiedział. – Guardian was wzywa. Macie natychmiast udać się ze mną. Sprawa jakaś ważna.

Starzec ze zdziwieniem spojrział na mówiącego:

– Przecież ojciec guardian zwolnił mnie na dzisiejsze przedpołudnie z wszelkich obowiązków...

– Mnie nic nie wiadomo – młody mnich wzruszył ramionami.

– Zaczekaj tutaj Hansie – rzekł starzec, odwracając się w drzwiach.

– Postaram się jak najrychlej wrócić.

– Dobrze stryju, poczekam – odparłem.

Gdy wyszli, bacznie rozejrzałem się po celi. Pomny słów stryja, mówiących, iż gdzieś w tym pomieszczeniu schował poruczone jego pieczy dokumenty, ciekaw byłem czy uda mi się odgadnąć miejsce ich ukrycia.

Próżno jednak zaglądałem we wszystkie zakamarki, próżno dokładnie zlustrowałem pryczę mniszą, nie szczędząc nawet siennika wypchanego niezbyt świeżą już słomą. Próżno oglądałem, a później opukiwałem ściany, mniemając, iż to któraś z nich kryć może jakąś tajemną skrytkę.

Lecz wszelkie poszukiwania okazały się bezowocne. Mimo jednak, że nie udało mi się zaspokoić swojej ciekawości, ucieszyłem się, iż papiery bez wątpienia są bezpieczne, bo skoro ja, który wiedziałem, że należy ich szukać nie gdzie indziej, tylko w tym właśnie pomieszczeniu, a nie udało mi się nawet natrafić na ich ślad i byłem wobec schowka stryjowego bezsilny, to co dopiero mówić o osobie trzeciej, niemającej tej wiedzy co moja.

Upiwszy łyk zimnej wody z dzbana, bo naraz poczułem pragnienie, usiadłem na powrót na pryczy i jąłem rozmyślać nad tym wszystkim, co mi stryj opowiedział. Czułem wielki zamęt w głowie i nie bardzo wiedziałem, czy tak z całym przekonaniem mogę wierzyć w tę bez wątpienia starą i barwną legendę rodzinną, czy też może raczej powinienem zachować do niej duży dystans.

Ale w tym momencie przypomniały mi się nieoczekiwanie własne dziwne doświadczenia i przeżycia sprzed lat, które bez wątpienia powiązać mogłem z mapą i z niczym innym.

Z korytarza doleciał mnie odgłos ludzkich kroków. Ktoś stapał z pewnym wysiłkiem, lekko powłócząc nogami. Po chwili drzwi celi uchyliły się z przeraźliwym skrzypieniem dawno nieoliwionych zawiasów i w progu miast struja, ujrzałem postać nieznanego sobie mnicha.

Z postury sprawiał wrażenie sędziego i słabego. Stał niepewnie, barkiem opierając się o kamienną framugę drzwi. Nie mogłem dojrzeć twarzy przybysza, skrywał ją bowiem obszerny, naciągnięty aż na oczy kaptur. Przybyły skinął na mnie kościstą dłonią, a gdy się przybliżyłem, odwrócił się nieco bokiem, jakby obawiając się, żebym przypadkiem nie dostrzegł jego rysów (takie przynajmniej odniosłem wrażenie) i powiedział:

– Ojciec Sebastian, twój stryj młodzieńcze, prosił mnie, abym przekazał, iżbyś już więcej nie czekał na niego. Nieprzewidziane zajęcie zatrzymało go na dłużej i dzisiejszego dnia, żadną miarą nie będzie ci mógł poświęcić ani jednej chwili. Powiedział jeszcze, że kiedy indziej zdążycie jeszcze się nagadać.

Głos mnicha był jakiś dziwny, zbliżający się do granicy szeptu i jednocześnie syczący... Przypominał mi coś... Z pokładów niepamięci wydobywał odległe wspomnienie... Już gdzieś... już kiedyś ów głos słyszałem... Ale gdzie?... Kiedy?...

Głos mnicha czynił na mnie niemiłe wrażenie, nie wiedzieć czemu – przekazywana bowiem przezeń treść nie mogła stanowić żadnego wytłumaczenia – wzbudzał we mnie dreszcz niepokoju... Nie, nie strachu, a niepokoju właśnie.

Ale nie miałem możliwości dłużej się nad tym zastanawiać, bo zakapturzona postać ponownie, skinąwszy na mnie kościstą dłonią, ruszyła przodem, wyrzekłszy jedno tylko zdanie jeszcze:

– Pójdź za mną, a wyprowadzę cię z klasztoru.

Nie pozostało mi nic innego, jak zastosować się do polecenia. To też posłusznie ruszyłem za przewodnikiem.

Teraz dowodnie przekonałem się o tym, iż był on rzeczywiście człowiekiem bardzo słabym. Co kilkanaście kroków przystawał, aby

odpocząć. Idąc, potykał się, i starał trzymać blisko ściany, o którą co jakiś czas opierał się dłonią.

Jednak mimo poważnych trudności, jakie sprawiało mu chodzenie, czynił wrażenie osoby, której się bardzo śpieszy. Wyraźnie widać było, iż pragnie, abym jak najrychlej opuścił mury klasztoru.

Dlatego wiódł mnie nie zwykłą drogą, ale używając skrótów. Wyszedłszy z budynku, przecięliśmy na ukos zadbany ogród warzywny zewsząd otoczony dość wysokim murem, częściowo zbudowanym z cegły, a częściowo z polnego kamienia. W murze tym, prawie ukryta pod płataniną łoż dzikiego wina, widniała niewielka żelazna furtka.

Gdy zbliżyliśmy się do niej, mój przewodnik z połów habitu wyłuskał mocno porzdewiały klucz i włożywszy go w zamek, z wielkim trudem przekręcił. Rygiel puścił ze zgrzytem, a po chwili rozwarły się i drzwiczki, z których płatami posypała się rdza. Wyszedłem na ulicę. Była to boczna ulica, wciśnięta pomiędzy mur klasztornego ogrodu i park. Zdaje się, iż nie uczęszczało nią zbyt wiele osób, bo szpary pomiędzy kamiennymi płytami chodnika zarośnięte były trawą.

Gdy posłyszałem głuchy łoskot zatraskującej się furtki, ruszyłem wolno przed siebie, kierując się w stronę drogi mogącej zaprowadzić mnie do domu.

Byłem trochę zły i zawiedziony, iż nie zaspokoilem do końca rozbudzonej przez stryja ciekawości. Toteż obiecałem sobie, iż następnego dnia, skoro tylko się obudzę, natychmiast postaram się z nim spotkać.

* * *

Ojciec Sebastian wracał od gwardiana, który bynajmniej go nie wezwał, z lekka poirytowany.

„A to smarkacz – myślał o młodym mnichu, który wywabił go fałszywą wiadomością – głupie żarty mu w głowie!”.

Pocisnął klamkę i otworzył drzwi swojej celi. Była pusta. Bratanek zniknął. Jego nieobecność dodatkowo wzmożyła niezadowolenie zakonnika.

– Nawet tych kilkunastu minut zaczekać mu się nie chciało. A wyglądało przecież, iż moja opowieść zaintrygowała go mocno – mruzczał sam do siebie.

Dzień upłynął ojcu Sebastianowi podobnie jak wszystkie inne zwyczajne dni jego długiego klasztorного żywota. Skoro słońce jęło chylić się ku zachodowi, z dworu dobiegł jazgot wróbli, których rozćwierkane stadko obsiadło gęsto gałęzie krzaka bzu rosnącego w pobliżu studni.

Później powietrze jęło szarzeć, aż nareszcie mrok okrył szczelnie całą ziemię. Gdy na koniec, po dopełnieniu wszelkich przepisanych regułą obowiązków i skromnej wieszery, ojciec Sebastian mógł udać się na spoczynek, za oknem była już ciemna noc.

Leżał na niewygodnym posłaniu, a sen jakoś nie nadchodził.

„Przydałoby się zmienić słomę w sienniku, ta się już ugniotła i stare gnaty boją, gdy uwierają je deski” – myślał.

Wokół panowała niczym niezmacona cisza. Mnich, czując, iż dający wytchnienie sen nie prędko tej nocy go nawiedzi, sięgnął po omacku ręką ku brzegowi stołu. Wziął różaniec i po chwili szeptał zdrowaśki, przesuwając w palcach wyslizgane od długiego używania, wytoczone z twardego drewna paciorki.

Nagle zdało mu się, iż z korytarza doleciał jakiś szmer. Lekki, prawie niesłyszalny.. Uniósł się na łokciu i nadstawił ucha. Głowę obrócił bokiem, bo na lewe ucho słyszał lepiej. Nic, cisza.

Ułożył się znów, najwygodniej jak mógł i dalej pracowicie przesuwiał paciorki różańca. Modlił się na leżąco. Mniemał, iż dobry Pan Bóg uwzględni jego podeszły wiek i obolałe kolana.

Znów szmer. Tym razem głośniejszy i wyraźniejszy. Odgłos lekkiego stąpania. Czyjaś ręka poruszyła klamkę. Ojciec Sebastian usiadł na posłaniu.

– Kto tam? – zapytał. – Kto i czego szuka tu po nocy?

Lecz nie doczekał się żadnej odpowiedzi. Zastanawiał się, czy aby przekręcił klucz w zamku przed udaniem się na spoczynek, ale nie musiał tego dłużej czynić, bo drzwi ze skrzypieniem się rozwarły, a w prostokącie wejścia ciemniejszą plamą zamajaczyła ludzka sylwetka..

Wiatr jak raz przegnał precz chmurę, która zakrywała pyzate oblicze księżycy w pełni, a ów zajrzał wprost do okna ojca Sebastiana. Jego srebrzysty blask był tak mocny, iż wszystko stało się doskonale widoczne, a jasno uczyniło się prawie tak jak w dzień.

– Kim jesteś? – ponowił pytanie starzec.

Lecz postać przyodziana w mniszny habit, a zbliżająca się powoli w stronę pryczy, zachowała zupełne milczenie.

Gdy przybysz znalazł się tuż, o dwa kroki może zaledwie od Sebastiana, uniósł ku górze kośćcistą, chudą dłoń i odrzuciwszy z głowy kaptur, tym samym odsłonił swą twarz.

Ukazała się ona w sinawej poświacie księżycą bardzo wyraźnie. Sebastian, spojrzawszy w oblicze przybyłego, zmartwiał ogarnięty grozą. Oczy wyszły mu z orbit, strach zacisnął się na gardle i sercu. Poczul, jak włosy podnoszą mu się na głowie, a usta rozwierają do krzyku. Ale mimo, iż się natężył z całych sił, nie mógł wydobyć głosu. Wyglądało to tak, jakby jakaś potężna siła wpychała mu go z powrotem do krtani.

Stał niczym sparalizowany, a postać przybyłego coraz bardziej nachylała swoją twarz ku jego twarzy. Po kilku minutach począł rzeźzić, a z piersi wydobyło się ni to łkanie, ni to skowyt, przypominające skowyt katowanego psa. A potem ciało starca osunęło się bezwładnie i upadło z głuchym łoskotem na kamienne płyty posadzki.

* * *

Gdy rankiem zakonnicy, zaniepokojeni nieobecnością ojca Sebastiana zarówno w kościele, jak i w refektarzu, udali się do jego celi, zobaczyli widok niemogący zaliczać się do przyjemnych.

Trup mnicha leżał dziwnie poskręcany pomiędzy pryczą a stołem. Na twarzy zastygł mu wyraz grozy i przerażenia. Szeroko otwarte oczy zdawały się wpatrywać ciągle w owo „coś”, co swym widokiem przypawiło go o śmierć.

W prawej dłoni umarły trzymał różaniec, przyciskając go – jakby w obronnym geście – do swego serca.

Gdy na koniec do celi przybył i gwardian, ujrawszy ciało ojca Sebastiana, na jego widok, na widok potwornie wykrzywionej twarzy, nie rzekł nic zgoła, tylko raz po raz się żegnając, cofał się ku wyjściu. A gdy już znalazł się na korytarzu, jął szeptać:

– Zlituj się nad jego duszą, Panie. I zlituj się nad nami, bośmy wszyscy grzeszni. Przed szponami szatana nas obroń...

Nikt nie miał najmniejszej choćby wątpliwości, iż ojca Sebastiana zabił strach.

Po wyjściu z klasztoru cały dzień włóczyłem się po mieście. Zrezygnowałem z pierwotnego zamiaru natychmiastowego powrotu do domu. Bo i do czego miałbym się śpieszyć?

Z chwilą, gdy odszedł ojciec, dom nie był już tym samym domem, co przez tyle lat. Zdało mi się, iż raptem stał się dziwnie obcy, chociaż jednocześnie każdy sprzęt, każdy przedmiot, każda rysa na posadzce, wszystko to przywodziło na pamięć wspomnienia minionych chwil, wspomnienia dzieciństwa.

Wędrowałem więc ulicami bez celu i planu. Czas jakiś posiedziałem w cieniu rozłożystego klonu, u którego stóp znajdowała się kamienna ławka.

Raptem poczułem głód, bo od poprzedniego wieczoru, prócz kilku łyków wody z dzbana w celi stryja, niczego więcej nie miałem w ustach. Podźwignąłem się zatem, chociaż niechętnie, miejsce bowiem, odosobnione od tłoku i gwaru ulic, działało na mnie kojąco i powędrowałem w poszukiwaniu jakiejś przyzwoitej restauracji.

Skoro pokrzepiłem się dość smacznym obiadem, do którego wychyliłem kilka kieliszków wybornego, choć taniego i mało znanej marki wina, zachwalanego przez restauratora, humor wyraźnie mi się poprawił. Zastanawiałem się nawet czy by nie wrócić do klasztoru i nie poprosić o widzenie ze stryjem, który do tej pory mógł być już, dysponować wolną chwilą. Ale przemyślawszy sprawę raz jeszcze, doszedłem do wniosku, iż najlepiej uczynię, jeśli – tak jak postanowiłem wcześniej – pójdę do niego następnego ranka.

Udałem się zatem wprost do domu. Tutaj uprawiałem kucharkę w rozpacz, odmawiając zarówno zjedzenia odgrzewanego (bo spodziewano się mojego powrotu o wiele wcześniej) obiadu, jak i kolacji. Wiedziałem, że kobiecina, która władała kuchnią jeszcze za czasów młodości mojego ojca, chciałyby mi nieba przychylić, że traktowała mnie niczym własnego syna i że odmawiając zdecydowanie choćby pokosztowania przyrządzonych przez nią z całym kunsztem, na jaki tylko było ją stać, potraw, czynię jej wyraźną przykrość. Nie potrafiłem jednakże się przemóc i po powrocie natychmiast udałem się do gabinetu mojego zmarłego ojca.

Od czasu pogrzebu nie miałem ani chęci, ani okazji przejrzenia

pozostałych po nim papierów i chciałem uczynić to teraz. Przystąpiwszy próg gabinetu, rozejrzałem się ciekawie po tym, do niedawna jeszcze zgoła niedostępnym dla mnie przybytku, a później jąłem systematycznie przeglądać półki i szuflady.

Przecież niczego interesującego poza papierami wartościowymi, jakimis zapiskami dotyczącymi prowadzonych przez ojca interesów i rachunkami bieżących wydatków, nie znalazłem.

Rozsiadłem się więc wygodnie przy ciężkim mahoniowym biurku i spojrzawszy na przeciwległą ścianę, dostrzegłem rozwieszoną na niej mapę, o której dzisiejszego ranka wspominał stryj.

Im dłużej wpatrywałem się w kontury wyrysowanego na niej nieznanego ładu, tym silniejszą falą nawracały ku mnie wspomnienia z dzieciństwa. Oto znów jestem małym chłopcem, który potajemnie, pod nieobecność ojca wślizgnął się do jego gabinetu.

I znów ogarnęła mnie dawna – zda się – zapomniana i przebrzmiała fascynacja ową mapą. Wpatrywałem się w nią szeroko rozwartymi oczyma, usiłując odgadnąć kim lub czym są potworkowaci, zwierzokształtni ludzie, czy stwory nieznanne? Czy rzeczywistością, dziwną i niesamowitą, czy raczej tworem jakiejś chorej wyobraźni?

Wzrok znów najpierw prześlizgnął się, a potem wrócił i zatrzymał na wyobrażeniu okropnej głowy, człowieczą głowę przypominającej. Jej obraz przykuwał, wabił, zdawał się przyzywać, a jednocześnie... jednocześnie poczułem, jak w mojej piersi wzbiera lęk. Poczulem w sercu chłód, chłód tak dotkliwy, jakby do jego wnętrza wpłynął strumyk lodowatej wody, miast ciepłej krwi.

Usiłowałem popatrzeć w inną stronę, czy choćby zamknąć oczy, lecz mi się to nie udawało. Spróbowałem wstać, aby jak najrychlejsz opuścić pokój, ale wówczas, z przerażeniem spostrzegłem, iż nie panuję nad swoimi mięśniami. Mięśnie rąk i nóg miałem jak z waty. Ściągną utraciły sprawność. Ciało nie chciało słuchać rozkazów płynących z mózgu.

– Boże... Boże... – szeptałem. – Co się ze mną dzieje?

Naraz obraz rzeczywistości rejestrowany przez źrenice jał mętnić, rozmywać się, niknąć. Poczulem, iż spadam w jakąś czeluść bez dna, coraz szybciej, coraz szybciej i szybciej, wokół mnie migoczą miriady skier złocistych, purpurowych, jaskrawozielonych i skądś z oddali – wszakże całkiem wyraźnie – do moich uszu, a może raczej

wprost do mózgu, dobiega powtarzająca się fraza dziwacznej, niby spokojnej, a jednocześnie budzącej dreszcz lęku muzyki.

W pewnym momencie zawisłem w próżni. Zawisłem pomiędzy materialnym i niematerialnym światłem, pomiędzy realnym a nierealnym. Do mojego umysłu jąła przesączać się pewna myśl, myśl bluźniercza, którą zaraz odrzuciłem z trwogą. Lecz ona natrętnie wracała, aż pozwoliłem jej zawładnąć sobą i wówczas doznałem czegoś nieokreślonego, czegoś, co było i bólem i rozkoszą jednocześnie.

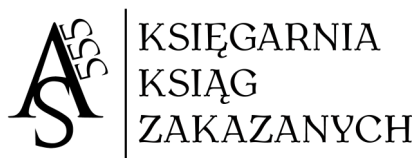
Skry różnobarwne przestały wirować i muzyka ucichła. Oczy zakrył mi tuman purpurowej mgły, z której poczęły się wyłaniać kształty fantastyczne jakieś, nieziemskie, nierealne, a przecież – gdybym mógł wyciągnąć rękę i dotknąć ich – bez ochyby bym ich dotknął. Tyle że ręki nie mogłem wyciągnąć..

Purpurowa mgła pociemniała naraz, przybierając barwę ciemnofioletową. Od czasu do czasu rozświetlały je pozłociste refleksy, przypominające może nieco – chociaż było to dalekie podobieństwo – błyskawice przecinające niebo podczas burzy. A później z owej mgły do moich uszu doleciał syczący szept:

– Złam pieczęcie... Złam pieczęcie...

DARMOWY FRAGMENT
PUBLIKACJI

ZAPRASZAM
DO KUPIENIA PEŁNEJ WERSJI

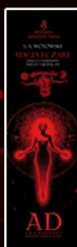
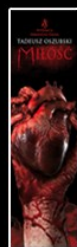
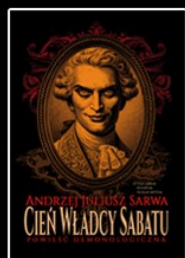
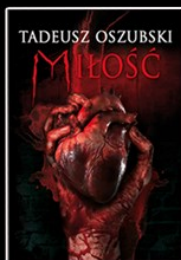


<https://sklep.arkadiuszsiejda.pl>



WYDAWCA
ARKADIUSZ SIEJDA

<https://arkadiuszsiejda.pl>



AS

KSIĘGARNIA
KSIĄG
ZAKAZANYCH
WYDAWCA
ARKADIUSZ SIEJDA

AS

www.sklep.arkadiuszsiejda.pl

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA CIEN WŁADCY SABATU POWIEŚĆ DEMONOLOGICZNA

Chwile skapywały powoli i długo, zanim spostrzegłem – nie, nie jest to odpowiednie słowo, lecz niestety nie potrafię znaleźć innego, trafniejszego – że wśród mych pobratymców znajdują się osobnicy mający pewną wiedzę o świecie mroku, czerni i szarych, i że gdy oni czynią coś, czego znaczenia pojąć nie mogłem, lecz domyślałem się, iż ma to związek z oddawaniem kultu istotom z mroku, te ostatnie rosną w siłę, stając się potężniejsze, narasta ich nienawiść, a wraz z nią odczuwanie rozkoszy, której kulminacją jest rozpacz tak potężna, że aż popychająca ku czynom pełnym ohydzy.

WYDNIĘ JUBILEUSZOWE
ILUSTROWANE

PREMIERA
16 KWIETNIA 2025


WYDAWCA
ARKADIUSZ STEJDA



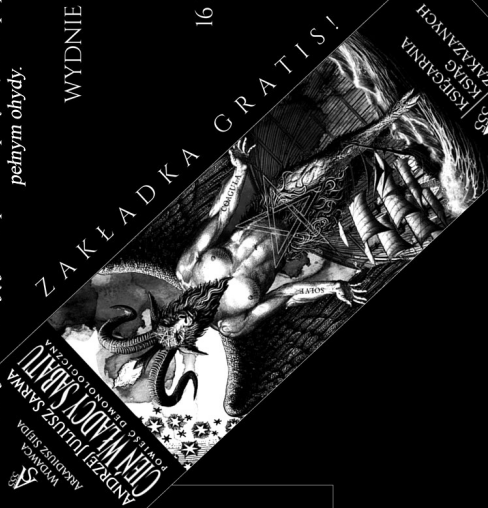
ET VIDI LIBRUM
SIGNATUM
SIGILLIS SEPTIMA

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA CIEN WŁADCY SABATU POWIEŚĆ DEMONOLOGICZNA

KSIAŻKI DOSTĘPNE W SKLEPACH:

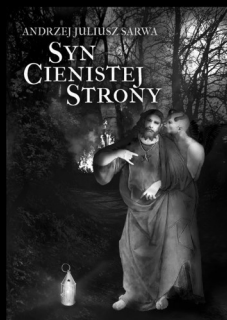
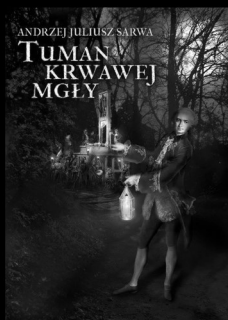
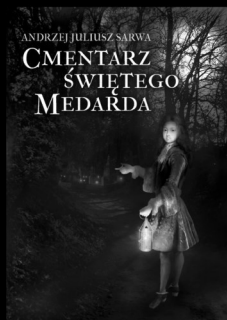
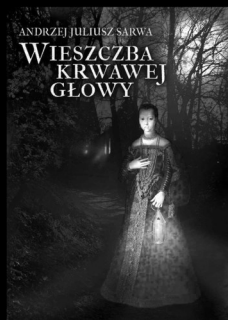
-  KSIĘGARNIA
allegro
-  KSIĄG
ceno
-  ZAKAZANYCH
legimi

www.sklep.arkadiuszstejda.pl



ZAKŁADKA GRATIS!

ANDRZEJ JULIUSZ SARWA



Dzieje rodu Białeckich Andrzej Juliusz Sarwa Wydawnictwo Armoryka

Słynny cykl o rodzie Białeckich: *Wieszczka krwawej głowy*, *Cmentarz świętego Medarda*, *Tuman krwawej mgły*, *Syn Cienistej Strony*. Tematem przewodnim powieści jest strategiczny wpływ Zła na losy świata. Autor, bazując na źródłach historycznych, przekazuje wiedzę z zakresu okultyzmu, demonologii, czarnych mszy, satanistycznych rytuałów jak i mordów rytualnych, a także konsekwentnego wprowadzania Nowego Porządku Świata, który ukoronowany zostać ma nadejściem Antychrysta. Książki ku przestrodze!